

POD BIEGUNY

Spitsbergen
Islandia
Półwysep Kolski
Patagonia



AR
TUR
GO
RZE
LAK

POD BIEGUNY

Spitsbergen
Islandia
Półwysep Kolski
Patagonia

Tekst: Artur Gorzelak (Spitsbergen, Islandia, Półwysep Kolski), Ewa Gorzelak (Patagonia)

Tekst na okładce: Krzysztof Gorzelak

Wstępne opracowanie tekstu: Judyta Gorzelak

Redakcja, korekta i przygotowanie do druku: PRE-TEKST Paulina Kielan

Skład: Magdalena Bieniek, Mariusz Bieniek

Opracowanie graficzne i projekt map: Mariusz Bieniek

Projekt okładki: Michał Chojnacki, Studio Warto

Fotografie: Judyta Gorzelak i Artur Gorzelak (Spitsbergen, Islandia, Półwysep Kolski),
Ewa Gorzelak i Piotr Gorzelak (Patagonia)

Ikony na skrzydełku: freepik.com: ibrandify

Producent wykonawczy i wydawca: Artur Gorzelak

Copyright © Artur Gorzelak, 2020

Wydanie I

ISBN 978-83-950111-4-6

Wszelkie prawa zastrzeżone.

All rights reserved.

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Publikacja została opracowana i wydana ze środków autora.

Rodzinie

Od Autora

Drogi Czytelniku! Oddaję w Twoje ręce książkę reportażową opisującą podróżę w rejony kół podbiegunowych. To tereny oszałamiająco piękne, choć nieraz jest to piękno groźne i bezlitosne. To królestwo dzikiej przyrody niekiedy wciąż nieskalanej ludzką ręką. Miejsce, w którym rządzi natura, a człowiek musi podporządkować się jej prawom i rytmowi, żeby przetrwać w tych surowych warunkach.

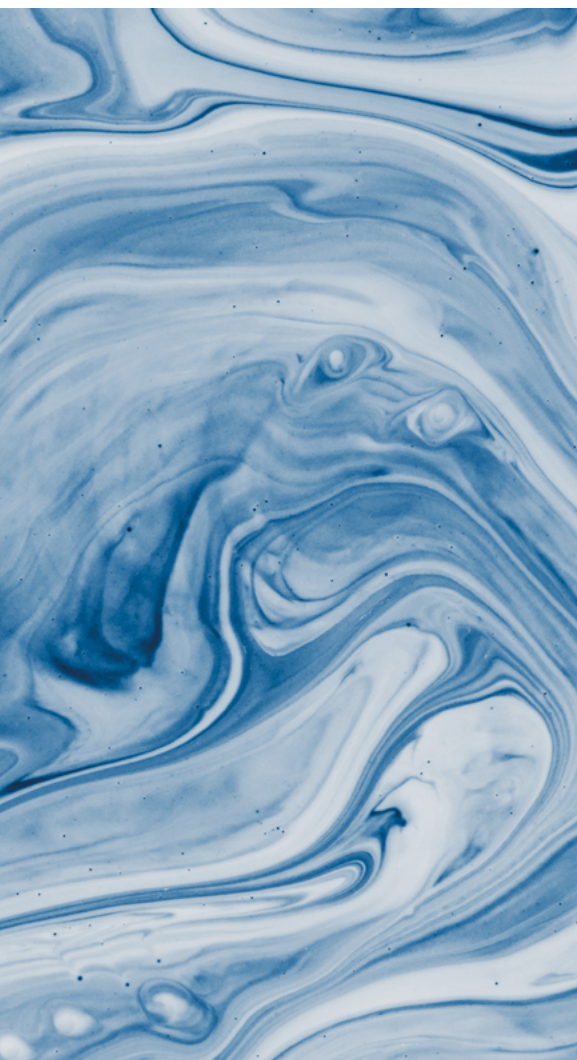
Podróże po ziemiach rejonu koła podbiegunowego opisane w książce nie mają ciężaru gatunkowego typowego dla ekspedycji badaczy czy ludzi wyznaczających sobie wyzwania leżące na granicy ludzkiej wytrzymałości – są raczej relacją miłośników świata z niekończącej się przygody, jaką jest odkrywanie jego zakątków.

Pod bieguny to opis czterech niezależnych wypraw. Ich wspólnym mianownikiem są bezkresne przestrzenie, niezwykle piękno krajobrazów, masy śniegu i lodu, a także surowość warunków, która sprawia, że na tych obszarach wciąż rozgrywa się walka o przetrwanie i to natura wychodzi z niej zwycięsko, triumfując nad próżną chęcią dominacji człowieka. Ostatni reportaż jest relacją z podróży osób, które zaszczepiły we mnie żylkę podróżnika oraz ciekawość świata i które każdy wolny moment przeznaczają na poznanie nowych miejsc i historii z nimi związanych – moich rodziców. Jestem im nieskończenie wdzięczny za to, że dali mi przykład, jak żyć z pasją. Zachęcony ich przeżyciami i opowieściami wpisałem Patagonię na listę miejsc, które koniecznie chcę odwiedzić.

Imiona i nazwiska niektórych osób wspomnianych w publikacji zostały zmienione na ich prośbę.

SPITSBERGEN

Kraina tundry



Morze Grenlandzkie

Ocean Arktyczny



Morze Barentsa

Świąteczny prezent prosto z Arktyki

Nienawidzę się spóźniać! Szczególnie jeśli mam świadomość, że na uzgodnioną godzinę przybywa większe grono osób. Taka właśnie myśl mi towarzyszyła, gdy chwilę przed szesnastą, ubrany w ciepłą kurtkę i czapkę, nerwowo szukałem po całym mieszkaniu kluczyków do samochodu. Jak co roku 24 grudnia spotykaliśmy się o tej samej porze w mieszkaniu rodziców lub siostry, aby wspólnie spędzić Wigilię Bożego Narodzenia. Nieparlamentarne hasła wykrzykiwane przeze mnie głośno pod adresem niepokornych kluczyków z pewnością nie umacniały wśród sąsiadów świątecznej atmosfery.

– Są! – wykrzyknąłem z radością, triumfalnie wyjmując zgubę, która jakimś cudem znalazła się za kanapą.

Kiedy już myślałem, że nic nie przeszkodzi mi w tym, żebym z torbą prezentów pod pachą znalazł się w samochodzie, niespodziewanie dostałem wiadomość. Zwykłą, regularną wiadomość od znajomych potraktowałbym pewnie nieco bardziej obojętnie. Stwierdziłbym, że to prawdopodobnie życzenia świąteczne, które mogą chwilę poczekać na moją reakcję. Wiadomość jednak mnie zaintrygowała. W aplikacji znajdowała się w folderze „Inne”, co oznaczało, że otrzymałem ją od nieznanej mi osoby. Z kroplami potu na czole i w czapce na wpół naciągniętej na głowę, objuczony prezentami świątecznymi, postanowiłem jednak zerknąć na tajemniczy komunikat. Brzmiał mniej więcej następująco: „Cześć, Artur, dostaliśmy Twoją wiadomość! My się nie znamy, ale mamy wspólnych znajomych na Facebooku. Rozmawiałem z kierownikiem naszej stacji. Możesz nas odwiedzić. Wkrótce pomogę Ci w zorganizowaniu całej akcji. Pozdrowienia z Hornsundu!”.

Przeczytałem tekst jeszcze dwukrotnie – wprost nie mogłem uwierzyć w to, co zobaczyłem. Pomyślałem, że w tym roku musiałem być wyjątkowo grzeczny, bo prezent świąteczny dostałem jeszcze przed kolacją wigilijną. W wyśmienitym humorze ruszyłem na rodzinne spotkanie. Trzeba wyjaśnić, że wiadomość stanowiła odpowiedź na pytanie, które wysłałem jakiś czas wcześniej do polskich stacji badawczych zlokalizowanych w Arktyce, i została przysłana z koła podbiegunowego – prosto z Polskiej Stacji Polarnej Hornsund.

A jak wszystko się zaczęło? Jesienią 2015 roku ukończyłem swój dwunasty miejski maraton. Moja motywacja do uczestnictwa w kolejnym, bardzo zbliżonym przedsięwzięciu była daleka od tej, jaka towarzyszyła mi przy pierwszych startach. Postanowiłem coś zmienić. Zdecydowałem, że kolejne wyzwanie biegowe postaram się zrealizować w jakimś odległym miejscu. W internecie szybko znalazłem maraton odbywający się na Spitsbergenie – największej wyspie archipelagu Svalbard – będącej wysuniętym najdalej na północ siedliskiem ludzkim na świecie. Kiedyś to miejsce było dostępne wyłącznie dla naukowców i górników wydobywających węgiel. Obecnie latem można tam dotrzeć norweskimi liniami lotniczymi lub na pokładzie wielkich wycieczkowców (ale to raczej opcja dla osób dysponujących grubym portfelem, a także sporą ilością czasu).

Bieg od samego początku przypadł mi do gustu i zacząłem intensywnie szukać wszelkich informacji na temat wysp archipelagu Svalbard. Przeszukując internet w języku polskim, w pierwszej kolejności natrafiłem na wzmiankę, że znajduje się tam kilka polskich placówek naukowych. Placówki zajmują się przeróżnymi badaniami w obszarach (uwaga, będzie tego sporo): meteorologii, glaciologii, magnetyzmu ziemskiego, fizyki, elektryczności w atmosferze ziemskiej, rezonansu Schumanna, sejsmologii. Prościej i najogólniej – badają czynniki wpływające na pogodę i klimat. Jedna z tych placówek – Polska Stacja Polarna Hornsund im. Stanisława Siedleckiego – jest całoroczna, a pozostałe to stacje sezonowe działające tylko w miesiącach letnich i będące ośrodkami badań uniwersyteckich – Uniwersytetu Wrocławskiego, Uniwersytetu Mikołaja

Kopernika w Toruniu, Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie oraz Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu.

Skąd taki wysyp polskich stacji arktycznych na archipelagu Svalbard? Odpowiedź kryje się w historii tego miejsca. Na mocy traktatu spitsbergeńskiego, podpisanego po pierwszej wojnie światowej, tereny archipelagu Svalbard zostały uznane za własność Królestwa Norwegii. Sygnatariusze aktu (w tym Polska) uzyskali prawo do korzystania z zasobów naturalnych archipelagu, a także prowadzenia na jego terenie badań naukowych. Nasze krajowe jednostki badawcze korzystają z tego prawa. Nie zastanawiając się długo, napisałem do każdej z wymienionych jednostek maila. Poinformowałem w nim, że latem wybieram się na Spitsbergen z zamiarem wzięcia udziału w maratonie i zapytałem, czy istnieje możliwość krótkiej wizyty w stacji badawczej. Przez wiele tygodni nie dostałem żadnej odpowiedzi. Straciłem już nadzieję na to, że odwiedzę którąś z arktycznych placówek. Łatwo wyobrazić sobie moją radość, gdy w wigilijny wieczór odczytałem wiadomość wysłaną wprost z koła podbiegunowego.

Maraton zaplanowano na początek czerwca, więc czasu na przygotowania było w sam raz. Zacząłem od teorii. Przeczytałem kilka reportaży, trochę wypowiedzi osób, które odwiedziły Arktykę lub tam mieszkały. Reportaż pt. *Białe*, autorstwa Ilony Wiśniewskiej, która od 2010 roku mieszka na Spitsbergenie, stał się dla mnie skarbnicą wiedzy na temat wyspy. Dotarłem także do niesamowitego reportażu pt. *Wyspa mgieł i wichrów* autorstwa Czesława Centkiewicza. To relacja kierownika pierwszej polskiej wyprawy polarnej na Wyspę Niedźwiedzią (znajdującą się mniej więcej w połowie drogi między Spitsbergenem i kontynentalną częścią Norwegii). Jego wspomnienia z karkołomnych przygotowań do wyprawy, a także zapis najciekawszych wydarzeń z kilkunastu miesięcy spędzonych przez polskich naukowców na Dalekiej Północy w latach 30. XX wieku uświadomiły mi, z jakimi warunkami atmosferycznymi przyjdzie mi się zmierzyć w Arktyce. Ponadto każdą swoją wątpliwość dotyczącą tak odległej podróży mogłem skonsultować z Marcinem – uczestnikiem wyprawy polarnej przebywającym w Hornsundzie, który odezwał się do mnie w tamten wigilijny wieczór i odtąd szczerze mi kibicował w dążeniach do zrealizowania arktycznego planu.

Mój pływający dom w Arktyce

Największe dwa wyzwania – finansowe i logistyczne – stały jeszcze przede mną. Powszechnie wiadomo, że Norwegia to kraj bardzo drogi. Spitsbergen jest drogi nawet dla „kontynentalnych” Norwegów, mimo że produkty sprzedawane na wyspie są zwolnione z podatku VAT. W końcu wszystkie, absolutnie wszystkie towary trzeba sprowadzać na wyspę drogą morską lub lotniczą. Dla własnej orientacji warto sprawdzić za pośrednictwem popularnych wyszukiwarek noclegów, jak wygląda kwestia dostępności oraz cen hoteli i hosteli na Spitsbergenie, a konkretnie w Longyearbyen – największej miejscowości wyspy, w której zlokalizowane jest lotnisko (i gdzie miał się odbyć także maraton). Miejsc oferujących noclegi jest niewiele, a jeśli już się trafią, to ich ceny są zazwyczaj kosmiczne. Nie wyglądało to różowo.

Mój entuzjazm związany z odwiedzinami w polskiej stacji badawczej także bardzo szybko przygasł, ale już z innego powodu. Longyearbyen, do którego miałem dotrzeć samolotem, od naszej stacji badawczej dzieliło kilkadziesiąt kilometrów w linii prostej. Poza kilkoma miejscowościami na wyspie nie ma dróg, transportu publicznego czy choćby taksówki, która mogłaby zabrać mnie do Hornsundu. W internecie znalazłem informacje, że po Spitsbergenie można się poruszać na skuterach śnieżnych, na biegówkach, pieszo lub wynajętym helikopterem. Wszystkie opcje w moim przypadku brzmiały dosyć egzotycznie i skreślałem je jeszcze przed dokonaniem wstępnej analizy.

Dodatkowo wyczytałem, że na wyspie poza strefami zamieszkanymi przez ludzi obowiązuje nakaz noszenia broni. Dlaczego? Otóż na wypadek spotkania największego lądowego drapieżnika na świecie – niedźwiedzia polarnego. To wcale nie jest dmuchanie na zimne (choć Spitsbergen należy do zimnych miejsc) – na archipelagu Svalbard żyje więcej niedźwiedzi polarnych niż ludzi (ludzi jest około 2500, a populacja niedźwiedzi liczy prawie 3000). Mimo mojego całkiem solidnego przygotowania do maratonu i pewności siebie takie spotkanie mi się nie uśmiechało. Wiedziałem, że niedźwiedź polarny w pogoni za ofiarą potrafi osiągnąć prędkość nawet 40 km/h. Ucieczka zatem zdałaby się na nic.

Moje powątpiewanie w szansę na zobaczenie stacji badawczej nie trwało jednak długo. Pomocną dłoń ponownie wyciągnął Marcin, który przekazał mi kontakt do Jerzego – kapitana 17-metrowego jachtu o nazwie S/Y Operon, który w sezonie letnim (na okres zimy powraca do Polski) na stałe cumuje w porcie Longyearbyen i odbywa kilka kursów, dowożąc naukowców, żywność oraz korespondencję do stacji badawczych w tym rejonie koła podbiegunowego. Nie byłem pewien, czy taki szczur lądowy jak ja, którego noga jeszcze nigdy nie stała na pokładzie jachtu, znajdzie wspólny język z kapitanem jednostki pływającej po Morzu Grenlandzkim. Ku mojemu zdziwieniu otrzymałem rozsądną finansowo propozycję wspólnego rejsu do polskiej stacji badawczej, a także noclegów na jachcie z wyżywieniem na czas mojego pobytu na Spitsbergenie. Czyli transport i nocleg w jednym! Szybko znaleźliśmy z kapitanem wspólny język. Zaproponował mi nawet, żebym popłynął z nim na Spitsbergen bezpośrednio ze Szczecina lub – jeśli nie dysponuję aż taką ilością wolnego czasu – dosiadł się w miejscowości Tromsø położonej na północnych krańcach Norwegii. Z przykrością musiałem odmówić. Taka wyprawa zabrałaby mi cały urlop przysługujący mi w tamtym roku. Pozostaliśmy zatem przy pierwotnym planie, a więc spotkaniu w porcie po moim przylocie do Longyearbyen. Przed wyjazdem kontaktowałem się także kilkukrotnie z Marcinem, konsultując z nim, co może mi się przydać w trakcie lata na Spitsbergenie, a czego nie muszę pakować. Byłem podekscytowany, że wkrótce pierwszy raz dane mi będzie na własne oczy zobaczyć tundrę.

Przyspieszony spacer do portu w Longyearbyen

Z ciężką, nieporęczną walizką na kółkach ostatniego dnia maja stawiałem się na Lotnisku Chopina w Warszawie. Do Longyearbyen miałem się dostać lotem transferowym z przesiadką w stolicy Norwegii. Kilka nocnych godzin, które musiałem przeczekać na lotnisku w Oslo, spędziłem na karimacie, testując śpiwór – według specyfikacji technicznej produkt miał zapewnić komfort ciepły do temperatury 0°C. W warunkach panujących

na lotnisku test został zdany, ale na hali odlotów temperatura była jednak sporo wyższa niż ta, jakiej spodziewałem się na miejscu.

Tuż po wschodzie słońca (a w Oslo latem jasno robi się na chwilę przed czwartą rano) stałem już w kolejce do samolotu linii Norwegian, który zabierał mnie za koło podbiegunowe. Gdy zniżaliśmy się do lądowania, zacząłem wyglądać przez okno, aby podziwiać wyspę z lotu ptaka. Spitsbergen przywitał mnie gęstymi chmurami, lekkim deszczem i śniegiem leżącym na zboczach gór. Bez problemu objąłem wzrokiem całą miejscowość Longyearbyen, na którą składało się kilkaset budynków. W porcie miejskim cumował wielki wycieczkowiec, który prawdopodobnie przyczynił się do zwielokrotnienia liczby ludzi przebywających w mieście.

Nietrudno zgadnąć, że byłem podekscytowany – właśnie lądowałem na wysuniętym najdalej na północ porcie lotniczym na świecie obsługującym loty cywilne. Latem regularnie lata tutaj zaledwie dwóch przewoźników i kilka linii czarterowych. Nie groziło mi więc długie oczekiwanie na bagaż. I rzeczywiście moja walizka pojawiła się zaledwie kilka minut po tym, jak wszedłem do hali przylotów. Wyjechała na taśmę, nad którą niczym wielkie memento górował wypchany niedźwiedź polarny, sygnalizujący przybyšom, przed kim powinni mieć się stale na baczności. Liczba turystów odwiedzających Spitsbergen ciągle rośnie i obecnie osiąga niemalże 150 000 rocznie (drogą lotniczą), czyli 60 razy tyle co populacja wyspy. W przełożeniu na nasze realia to tak, jakby do Krakowa uznawanego za miasto tłumnie odwiedzane przez turystów przyjeżdżało ich co roku nie 14 milionów, ale prawie 40. Odległość z lotniska do centralnego punktu Longyearbyen wynosi około 5 km. Dystans ten można pokonać autobusem za 75 koron norweskich (mniej więcej równowartość 40 złotych) lub taksówką za 150–200 koron (w przeliczeniu około 75–100 złotych). Ponieważ jednak sam port leży jakiś kilometr od lotniska, postanowiłem dostać się tam pieszo.

Zaraz po wyjściu z terenu lotniska otoczonego siatką natknąłem się na stojący przy drodze znak, który uświadomił mi, że do portu powinienem wyruszyć bez zbędnej zwłoki, a podczas marszu mieć oczy dookoła głowy. Trójkąt z czerwoną obwódką, pośrodku którego widoczna była

sylwetka niedźwiedzia polarnego, nie zwiastował raczej niczego dobrego. Przyspieszyłem kroku, a podziwianie arktycznych zakątków Spitsbergenu zostawiłem sobie na później. Cały czas bacznie obserwowałem ośnieżone zbocza gór, wypatrując zwierzęcia, które przed sekundą zobaczyłem na znaku drogowym. Dwukrotnie zatrzymały się koło mnie samochody osobowe, a kierowcy proponowali mi podwiezienie do centrum miasta. Uprzejmie podziękowałem, zwłaszcza że port, gdzie zacumowany był jacht – mający być moim domem przez sporą część arktycznej przygody – znajdował się już bardzo blisko. Wzdłuż drogi wznosiły się sporych rozmiarów drewniane konstrukcje stanowiące żywy pomnik historii wyspy. Ktoś mógłby zadać pytanie, po co ludzie pchali się w tak niesprzyjające warunki, gdzie przez pięć miesięcy panuje noc polarna, nie ma możliwości uprawy żadnych roślin, temperatury zimą sięgają -20°C . Otóż na przełomie XIX i XX wieku na wyspie odkryto wielkie pokłady węgla. Osadnicy norwescy, szwedzcy, a później także rosyjscy i ukraińscy przybywali na wyspę właśnie dla czarnego złota. Wzrost cen wydobycia węgla, a zarazem spadek jego rynkowej ceny sprawiły, że ostatnie kopalnie, które wydobywały go na eksport, zostały zamknięte lata temu. Wciąż funkcjonuje jednak kopalnia eksploatująca złoża na potrzeby lokalnej elektrowni. Wspomniane konstrukcje to nic innego jak specjalne gondole służące do transportu urobku z kopalń bezpośrednio na pokłady statków zabierających węgiel na kontynent. Dochodząc do portu, przyglądałem się także z zaciekawieniem wielkiemu wycieczkowcowi – jednostka swoim ogromem przysłoniła rozległy fiord, nad którym położone było miasto.

W porcie stało kilkanaście statków. Bez problemu znalazłem ten z polską banderą i napisem „www.oceanprzygody.pl”. Sprawnie przeskoczyłem na jacht wraz z walizką. Przywitał mnie Bartosz Staszewski – młody, sympatyczny deckhender, tj. pomocnik kapitana, można powiedzieć: człowiek orkiestra. W kabinie poznałem trójkę innych pasażerów płynących do Hornsundu: Aleksandrę Stępień, Mateusza Moskalika i Piotra Modzela. Jak się później okazało, wszyscy zmierzali do stacji badawczych w ściśle określonych celach. Byłem więc jedynym turystą na pokładzie. Pozostali już wiedzieli, że biegnę w maratonie, i wypytывali mnie o szczegóły

przedsięwzięcia. Po kilkunastu minutach z mroków swojej pieczary wyłonił się kapitan. Gdybym spotkał Jerzego gdziekolwiek indziej, choćby w ruchliwym centrum handlowym, i dostałbym zadanie wytypowania, czym się zajmuje, z miejsca bym stwierdził, że to marynarz. Sylwetka Jerzego w pełni odpowiadała stereotypowemu wizerunkowi człowieka morza. Nieco zgarbiony, szczupły, ze skórą zbrązowiałą od silnych morskich wiatrów (a może i trunków towarzyszących rejsom). Kilkunastocentymetrowa siwa broda, czapka nasunięta w połowie na głowę, a także rozciągnięty i wysłużony sweter dopełniały obrazu wilka morskiego. Do kompletu brakowało chyba tylko fajki, która z pewnością nadałaby jego postaci ostateczny szlif. Fajki wprawdzie nie było, ale nasz kapitan, jak się wkrótce dowiedziałem, niemalże odpalał papierosa od papierosa. Po wyjściu z kajuty kapitan uregulował ostrość wzroku i działanie błędnika, a gdy wszystko wróciło do normy i zauważył obecność nowej osoby na pokładzie, przywitał się, zaparzył kawę, zapalił papierosa, po czym zarządził wyjście z portu. W pełni ufałem załodze jachtu, jednak cieszyłem się, że większość zadań wykonywał Bartosz, któremu szło to zresztą nadzwyczaj sprawnie – w moim przekonaniu Jerzy musiał jeszcze chwilę odsapnąć po zeszlodniowych degustacjach trunków.

Sklamałbym, gdybym napisał, że podróż do Hornsundu miała zająć dzień i noc. Bardziej precyzyjnym określeniem byłoby: nieco ponad dobę. Latem na Spitsbergenie w zasadzie nie ma nocy, a przynajmniej nie w tradycyjnym rozumieniu. No chyba że mówimy o białych nocach, czyli takich, podczas których ani nie doświadczymy mroku, ani nie zobaczymy gwiazd. Nad archipelagiem Svalbard słońce zaczyna zachodzić za horyzont dopiero w sierpniu. Tego dnia miałem zatem pierwszy raz zakosztować dnia polarnego.

Gdy jacht wychodził z portu, na zboczu jednej z gór zobaczyłem zarys słynnego na cały świat budynku zlokalizowanego na wyspie. Globalny Bank Nasion, bo to o nim mowa, nie ma aż tak charakterystycznego kształtu, jak choćby wieża Eiffla, rzymskie Koloseum czy Big Ben – jest rozpoznawalny przede wszystkim ze względu na swoje przeznaczenie. To właśnie tutaj wiele państw oraz instytucji badawczych przechowuje

nasiona roślin rosnących na ich terenach. Jeśli w wyniku klęski żywiołowej czy ekologicznej roślina wyginie i zniknie z miejsca jej naturalnego występowania, będzie można ją odtworzyć, korzystając z zasobów banku. Betonowo-szklana konstrukcja nie bez powodu nazywana jest więc niekiedy Arką Noego lub Skarbem Zagłady. Bank mieści się w tunelu wydrążonym w wiecznej zmarzlinie gwarantującej odpowiednie warunki do przechowywania nasion – na powierzchnię ziemi wystaje tylko niewielki fragment budowli. Nasiona są zamrożone w stałej temperaturze -18°C . W banku zmagazynowano ponad 770 000 nasion z prawie 250 krajów. Pierwsze z przechowywanych rezerw już wydano na prośbę Międzynarodowego Centrum Badań Rolniczych na Obszarach Suchych z siedzibą w Bejrucie. Zniszczenia spowodowane konfliktem na terenie Syrii doprowadziły do zdziesiątkowania nasion pszenicy i jęczmienia przystosowanych do wzrostu w suchych regionach. Mimo wielu głosów krytycznych w stosunku do projektu z całą stanowczością można stwierdzić, że bank realizuje swoje statutowe cele.

Niestety wiatr nam nie sprzyjał, więc większość drogi musieliśmy pokonać na silniku. Z początku bardzo chętnie wyglądałem za burtę i obserwowałem gęstą błękitną barwę Morza Grenlandzkiego, a także oddalający się z każdą minutą ląd. Jednak szybko przekonałem się na własnej skórze, że odzież zakupiona specjalnie na arktyczne temperatury i silny wiatr (podczas miesięcy letnich) nieszczególnie spełnia swoje zadanie. W efekcie musiałem zrezygnować z kontemplowania widoków z pokładu.

Herbata na Morzu Grenlandzkim może sprowadzić na manowce

Bartosz i Jerzy z początku zmieniali się za sterem, kontrolując, czy trzymamy kurs. Gdy znaleźliśmy się już na pełnym morzu, a do celu było jeszcze daleko, wspólnie usiedliśmy przy stole i zaczęliśmy rozmawiać o najbliższych planach, a także o przygodach, które spotkały uczestników wypraw polarnych. Przyszedł też czas na zrobienie posiłku. Tym z wprawą zajął się Bartosz, który zupełnie nie zauważał, że łódź chwieje

się solidnie na falach Oceanu Arktycznego. Jerzy wyciągnął kilkilitrowy karton z winem i nie mniej sprawnie napełnił szklanki całej sześćoosobowej załogi. Dowiedziałem się też, że przydzielono mi kajutę o nazwie Jaskinia Smoka (niestety do dziś nie wiem, czemu kajuta zawdzięczała swoje tajemnicze miano).

Na Morzu Grenlandzkim lekko bujało, ale nie odczuwałem żadnych dolegliwości czy niedogodności związanych z chorobą morską. Wspólnie z nowo poznanymi pracownikami polskich stacji badawczych miło spędzaliśmy czas, grając w gry planszowe. Dowiedziałem się, że Ola i Mateusz płynęli do Hornsundu, by kontynuować badania zapoczątkowane rok wcześniej. Pracowali jako nurkowie i musieli „odłować” nadajniki, które monitorowały stan lodowca znajdującego się w okolicach stacji. Z kolei Piotr był pracownikiem inżynieryjno-technicznym Uniwersytetu Wrocławskiego oraz opiekunem Stacji Polarnej im. Stanisława Baranowskiego na Spitsbergenie. Na wyspie był kilka razy (dwa razy zimował, tzn. spędził kilkanaście miesięcy m.in. podczas nocy polarnej na stacji Hornsund). Stwierdził, że w stacjach badawczych spotkanie „misia” nie należy do rzadkości. Zastanawiałem się, co należy zrobić w przypadku natknięcia się na tego drapieżnika. Okazało się, że sposobów jest wiele, ale zazwyczaj najpierw misia się straszy, robiąc dużo hałasu wszystkim, co akurat jest pod ręką, np. pokrywkami od garnków, a potem korzysta się z rakietnicy, żeby odgonić intruza hukiem. Zadaniem psów trzymanyh na terenie stacji jest informowanie z wyprzedzeniem o niezapowiedzianej wizycie drapieżnika. Użycie broni to absolutna ostateczność.

Piotr bardzo chętnie raczył mnie opowieściami o spotkaniach z niedźwiedziami polarnymi. Jedna z nich szczególnie zapadła mi w pamięć. Któregoś dnia po przebudzeniu wyszedł z tzw. Baranówki (jak pracownicy pieszczotliwie nazywali stację Uniwersytetu Wrocławskiego), aby przygotować sobie śniadanie. Warto zaznaczyć, że w budynku nie ma lodówki – część produktów spożywczych przechowuje się na zewnątrz (temperatura pozwala na to nawet latem). Ze zdumieniem zauważył, że zniknął smakowity kawałek boczku przeznaczony na poranny posiłek. Kiedy wrócił do środka, na szybie od zewnętrznej strony zobaczył

ślady łap niedźwiedzia. Zapewne drapieżnik chciał zobaczyć, co się kryje w środku, ale ostatecznie poprzestał na zwęczeniu boczku. Piotr rozśmieszył mnie stwierdzeniem, że gdyby miś znał konstrukcję budynku, wszedłby do niego po jednym machnięciu łapą. Na szczęście skończyło się na utracie produktów na śniadanie. Przy tej okazji dowiedziałem się, że niedźwiedź ma osiem razy silniejszy węch niż pies i potrafi wyczuć kawałek boczku nawet z odległości kilku kilometrów od swojej potencjalnej zdobyczy.

Gdy część z nas zaczęła coraz częściej ziewać, choć o zachodzie słońca nie mogło być mowy, stwierdziliśmy, że udamy się na spoczynek. Było już sporo po dwudziestej trzeciej. Wpełzłem do swojego śpiwora w białej termicznej. Nie wiem, czy to z powodu emocji związanych z podróżą i po- bytem w Arktyce, czy raczej z rejsem po Morzu Grenlandzkim, ale było mi przeraźliwie zimno. Przez kilkadziesiąt minut bezskutecznie usiłowałem usnąć. Wreszcie postanowiłem, że wstanę, zrobię sobie herbatę, trochę się ogrzeję, założę na siebie wszystkie ubrania, które wziąłem ze sobą, i spróbuję jeszcze raz.

W głównej kabine jachtu panowała cisza. Wszyscy spali w swoich kajutach, a łódź płynęła na autopilocie. Na ekranie komputera widziałem, jak kropka wyznaczająca punkt, w którym aktualnie się znajdowaliśmy, mozolnie przesuwają się w kierunku wyznaczonego celu. Wyszedłem na zewnątrz i przyjrzałem się jeszcze raz wyspie, którą miałem teraz po lewej stronie w odległości kilkuset metrów. Wróciłem do kabiny, napełniłem czajnik i wstawiłem wodę. Mógłbym godzinami patrzeć na arktyczne krajo- obrazy, dlatego ponownie wyszedłem na pokład, aby nacieszyć oczy do czasu zagotowania się wody. Ku mojemu zdziwieniu jacht zaczął skręcać w stronę wyspy. Trochę mnie to zaniepokoiło, tym bardziej że byłem je- dyną osobą, która nie spała. Przetarłem oczy ze zdumienia, zszedłem na dół i spojrzałem na monitor komputera. Nie było mowy o pomyłce. Nasz jacht zaczął płynąć innym kursem niż wyznaczony. Piorunem polecia- łem obudzić Bartosza. Ten w lekkim półśnie wyjrzał na zewnątrz i nieco ochryplym głosem zapytał:

– Gotujesz wodę?

Pomyślałem, że może też ma ochotę na herbatę, więc odpowiedziałem, że bez problemu wstawię więcej.

– Nie o to chodzi – wyjaśnił mi. – Uruchomiony czajnik wytwarza pole magnetyczne, które zaburza pracę naszego GPS.

Tym sposobem – na szczęście bezboleśnie – dowiedziałem się, że gotowanie herbaty na naszym jachcie wymaga asekuracji sternika i przy tej procedurze konieczne jest wyłączenie nawigacji GPS. Nie jestem wielkim fanem herbaty, ale strach pomyśleć, co by było, gdybym zdecydował się pić szklankę za szklanką przez całą podróż do Hornsundu. Wróciłem do swojej „jaskini”, zasłoniłem niewielkie okienko w kajucie osłoną z folii aluminiowej zaciemniającą pomieszczenie, okutałem się w całą odzież, jaką miałem w bagażu, i ponownie ułożyłem się na koi.

Rano obudziłem się zziębnięty. Na pokładzie już tętniło życie. Zjedliśmy wspólnie śniadanie, popijając je mocną kawą. Zaczęliśmy też wstępne przygotowania do zacumowania w zatoce nieopodal stacji badawczej. Większość pasażerów musiała naszykować swój bagaż, trzeba było także zabrać rzeczy zamówione przez naukowców z Hornsundu. Gdy wpłynęliśmy do fiordu, Jerzy skontaktował się przez radio z załogą stacji i po chwili od brzegu odbiła wielka pomarańczowo-czerwona łódź motorowa, która zbliżała się do nas w szybkim tempie. W oczekiwaniu na jej przyplnięcie spoglądaliśmy na jezioro lodowca położonego na prawo od stacji. Podobno cofanie się lodowców jest w tym rejonie obserwowane i rejestrowane już od początku XX wieku. Łód, który obecnie stanowił czoło lodowca, pochodził mniej więcej z czasów bitwy pod Grunwaldem. Dotarcie do tego miejsca zajęło lodowcowi nieco ponad sześć wieków. Jeszcze trochę, a zniknie zupełnie roztopiony w wodach Morza Grenlandzkiego.

Wszyscy założyliśmy kapoki. Wolałem, żeby nie okazały się potrzebne, bo kąpiel w lodowatej wodzie to ostatnia rzecz, na jaką miałem w tamtym momencie ochotę. Najpierw zaczęliśmy przeładowywać zaopatrzenie dla członków załogi stacji. Nie wiem, co dokładnie było w środku, ale co chwila słychać było stukot szkła i obijające się o siebie puszki. W bagażach były także paczki i listy oraz sprzęt do nurkowania należący do poznanych

naukowców, którzy mieli kontynuować swoje badania niedaleko stacji. Gdy cały ładunek znalazł się na miejscu, my też wsiedliśmy na pokład.

Odbezpiecz, wyceluj i strzelaj!

Po krótkim kursie dobiliśmy do brzegu. Już na pierwszy rzut oka widać było, że stacja w Hornsundzie ma wszystkie atrybuty prężnie działającego centrum badawczego. Najpierw zobaczyłem dwie wielkie amfibie, którymi wożono towar, gdy do stacji dobijał duży statek z pełnym wyposażeniem dla poszczególnych załóg. Potem dojrzałem także ciągnik wyciągający na ląd motorówkę, która przed chwilą nas tu przywiozła, oraz quady pomagające przy manewrowaniu. Wreszcie skupiłem uwagę na samym centrum. Widok był imponujący. Przy zabudowaniach na silnym wietrze powiewały flagi Polski, Norwegii i Słowacji (jak się później dowiedziałem, stacja gościła wówczas badacza z tego kraju).

W jednopiętrowym drewnianym budynku mieszkalnym czekał już na mnie Marcin. Wszyscy zimownicy (tak się określa osoby, które spędzają w stacji badawczej zimę) przywitali nas bardzo serdecznie. W końcu byliśmy jednymi z nielicznych ludzi z zewnątrz, jakich widzieli od przeszło pół roku (wcześniej zjawili się tu tylko marynarze z łodzi dostarczającej zamówiony sprzęt, a także lekarz wezwany do jednostki). Wyglądało to tak, jakbyśmy się witali z dawno niewidzianą rodziną. Łatwo można było odczuć, jak bardzo badacze potrzebowali kontaktu z innymi ludźmi. W rogu sali siedział przesympatyczny kierownik wyprawy. To było niezwykle zabawne, gdy witając się z kolejnymi pracownikami, przedstawiałem się, a ci pytali mnie o zbliżający się start w maratonie. Najwyraźniej wszyscy znali mnie już z opowieści i wiedzieli, w jakim celu przybyłem na Spitsbergen. No cóż, w takim miejscu ciężko pozostać anonimowym. Zostaliśmy poczęstowani napojami, a gdy emocje trochę opadły, każdy zaczął wracać do swoich obowiązków.

Poprosiłem Marcina, żeby mnie oprowadził po kompleksie. Zaskoczyło mnie, że tutaj, na końcu świata, naukowcy mieli tak wspaniałe warunki.

Weźmy choćby wyposażenie kuchni: frytkownica, przemysłowy piekarnik, maszyna do wypieku chleba, kuchenka gazowa. Wyobrażałem to sobie zupełnie inaczej. Pomieszczenie, w którym wcześniej zostaliśmy przyjęci, było wyłożone ciepłym drewnem z mnóstwem półek zastawionych ciekawymi książkami. Pośrodku znajdował się stół, na którym ustawiono małe przekąski. Wygodne kanapy dookoła niego służyły zimownikom do wspólnego spędzania czasu, np. podczas oglądania filmów na wielkiej plazmie lub rzutniku. Marcin pokazał mi też swój pokój – niewielką jadalnię, której istotny element umeblowania stanowił rzucający się w oczy keyboard.

– Wziąłem go, bo stwierdziłem, że warto poświęcić noc polarną na naukę gry na instrumencie – wyjaśnił.

Zwiedziłem także niewielką siłownię zbudowaną na potrzeby pracowników stacji. Nie mogłem wyjść ze zdumienia, gdy w magazynie z żywnością zobaczyłem wózek z logotypem popularnej marki z owadem w tle.

– Tutaj przechowujemy żywność potrzebną do przygotowywania posiłków, a następnie zabieramy ją do kuchni – wyjaśnił Marcin.

Magazynowe regały rzeczywiście do złudzenia przypominały półki sklepowe w supermarketach. Były tam też gigantyczne chłodnie, w których składowano zamrożone produkty. Pomyślałem, że gdyby kiedyś (tfu, tfu) wybuchł konflikt zbrojny lub epidemia o zasięgu globalnym, to w tym miejscu bez problemu można by przeczekać gorący okres w komfortowych warunkach.

Po zwiedzeniu zabudowań zaczęliśmy się szykować do wyjścia na zewnątrz. W takim rejonie do wędrówki trzeba się solidnie przygotować. Dostałem pistolet z racą i zostałem szybko poinstruowany, w jakich sytuacjach mogę jej użyć, a kiedy będzie na to już za późno. Marcin z kolei zarzucił na ramię długą broń na wypadek spotkania z lokalnym drapieżnikiem. Tak wyposażeni ruszyliśmy na kilkudziesięciminutowy spacer po okolicy. Odwiedziliśmy osławiony skalisty Przylądek Wilczka znajdujący się na krańcu Zatoki Białego Niedźwiedzia. Wznoszą się na nim słynny drewniany krzyż i ołtarz ustawione w 1982 roku przez członków IV wyprawy PAN. W tym miejscu tradycyjnie odbywają się msze podczas wizyt księdza, przybywającego tu dwa, trzy razy w roku.

W drodze powrotnej do budynku stacji w pamięć zapadła mi tabliczka znajdująca się przed wejściem do budynku. Umieszczony na niej napis informował, że Warszawa znajduje się ponad 2700 km stąd w linii prostej. Pomyślałem, że nie czuje się tej odległości. Atmosfera w grupie naukowców była tak serdeczna, że miałem wrażenie, jakbym przebywał dużo bliżej domu. Chętnie posiedziałbym dłużej w tym przyjaznym miejscu, ale jeden z zimowników spieszył się na samolot, który za niecałą dobę odlatywał z Longyearbyen, więc w sporym pośpiechu zaczęliśmy przygotowywać się do powrotu. Na pożegnanie otrzymałem dwie małe pamiątki – kalendarz ścienny i bardzo pojemny kubek z logotypem tej konkretnej ekspedycji naukowej. Aby zwiększyć motywację i ożywić ruchy kapitana Jerzego, wyjeżdżający naukowiec przekazał mu wielką butelkę whisky. W efekcie po chwili wszyscy byli już na pokładzie statku i ruszaliśmy w kilkunastogodzinny rejs powrotny do największego skupiska ludzkiego na Spitsbergenie.

– Taki prezent to ja rozumiem – skwitował kapitan. – Myślałem, że przez kolejne dni będę pił ten sok – powiedział, wskazując niemal pusty karton z winem.

W porcie w Longyearbyen znajdował się niewielki (solidnie ogrzewany), biały, czysty i zadbane barak. Mieściła się tam toaleta i prysznic; można było także skorzystać z wi-fi. Spędzałem tam sporo czasu, zwłaszcza że na statku panował dotkliwy chłód (mój śpiwór ostatecznie oblał test), a tutaj mogłem się ogrzać.

**The North Pole is in the north. The South Pole is in the south.
And we, the Poles, are everywhere...**

Kolejny dzień przyniósł sporo emocji i wspaniałych wspomnień. Czekałem na niego od miesięcy. To właśnie tego dnia startował kameralny maraton na Spitsbergenie. Po śniadaniu poszedłem do centrum miasta, aby odebrać pakiet startowy i przygotować się do biegu. W drodze do biura zawodów mijałem obiekty podkreślające charakter miasta: pomniki niedźwiedzia polarnego, górnika czy wypełnione po brzegi węglem wózki kopalniane.

W miejscowości dominowała zabudowa drewniana, jednopiętrowa. Budynków nie stawiano gęsto, jednego na drugim, a wręcz przeciwnie – przestrzeni było tutaj w bród.

Przemierzając puste ulice miasta, w oddali zobaczyłem jakiegoś szaroczarnego czworonoga, który leniwie przechadzał się wzdłuż głównej drogi. Nie wyglądał na niedźwiedzia polarnego, więc stwierdziłem, że nie sprawdzę tego, o czym czytałem w książkach mówiących o Spitsbergenie. Podobno mieszkańcy wyspy pozostawiają drzwi do swoich domów otwarte na wypadek konieczności ucieczki przed tym arktycznym drapieżcą. Z początku myślałem, że to pies, ale gdy się nieco zbliżyłem, ujrzałem w całej okazałości jednego z niegroźnych (na moje szczęście) przedstawicieli wyspiarskiej fauny. To był renifer spitsbergeński. Korzystał z tego, że pokrywa śnieżna w mieście zmniejszyła się na tyle, by mógł posilić się mchami, porostami i trawami rosnącymi wzdłuż drogi. W następnych dniach jeszcze kilka razy miałem okazję zobaczyć w Longyearbyen przedstawicieli tego wzbudającego sympatię futrzanego podgatunku renifera tundrowego.

W sąsiedztwie budynku biura zobaczyłem wyraźne czerwone znaczniki, przy których widniała informacja o przebytych dystansie biegu. Cieszyłem się, że pod tym względem organizatorzy stanęli na wysokości zadania. Solidne oznaczenie trasy to podstawa dla biegacza, zwłaszcza jeśli porusza się po nieznanym terenie. Przed wejściem do budynku wywieszono duży plakat informujący, że ten bieg to najbardziej wysunięty na północ zorganizowany maraton na świecie. Pokazano także trasę maratonu z oznaczeniem punktów kontrolnych i żywieniowych. Sieć dróg w Longyearbyen jest słabo rozwinięta, dlatego trasę maratonu zorganizowano w dwóch pętlach, wykorzystując niemal w całości powierzchnię asfaltowych dróg w miejscowości.

Biuro zawodów mieściło się w sali gimnastycznej. Moją uwagę przyciągnęła wielka i chyba dosyć trudna do pokonania ścianka wspinaczkowa ustawiona przy jednym z boków sali. Ciekaw jestem, ilu amatorów wspinaczki można znaleźć w miasteczku liczącym 1800 mieszkańców, bo inwestycja w tego typu infrastrukturę musiała kosztować krocie.

Otrzymałem numer startowy z liczbą 17. Założyłem swoją koszulkę sportową przygotowaną specjalnie na tę okazję. Mój kolega Adam, z którym trenuję judo, a zarazem mistrz gry słów, był autorem tekstu widniejącego na wysokości klatki piersiowej:

„The North Pole is in the north.

The South Pole is in the south.

And we, the Poles, are everywhere...

Proud 2 B a Pole”.

Co oznacza: „Biegun północny jest na północy. Biegun południowy jest na południu. A my, Polacy, jesteście wszędzie... Jestem dumny z bycia Polakiem”.

Powyżej napisu umieściłem także logotyp mojego klubu judo oraz flagę Polski. Liczyłem na to, że jeśli w biegu wezmą udział inni obywatele naszego kraju, widok tej koszulki będzie stanowić dla nich zachętę do pogawędki, która zawsze umila kilkugodzinny trud maratońskiego biegu. Pozostawiłem zbędne rzeczy w depozycie i kilkanaście minut przed wyznaczonym początkiem rywalizacji udałem się na linię startu. Największy atut niszowych biegów to spokój i niewielkie grono uczestników. Nie ma stref czasowych ani wolontariuszy pokazujących kierunek, w którym powinno się zmierzać. Przed halą sportową stało kilkadziesiąt osób, które spokojnie ustawiły się na linii startu. Ruszyliśmy o pełnej godzinie – bez pośpiechu, szturchania łokciem i moich ulubionych okrzyków „lewa wolna” (to się zdarza zazwyczaj podczas biegów do 10 km – swoją drogą ciekawe, gdzie ci ludzie się tak spieszą). Mój chytry plan z odpowiednim oznaczeniem koszulki okazał się strzałem w dziesiątkę.

– Cześć, jestem Michał – usłyszałem po kilku minutach biegu.

Na trasie spotkałem jeszcze parę osób z Polski, ale to z Michałem przebiegliśmy wspólnie kilka pierwszych kilometrów. Michał, właściciel serwisu maratonypolskie.pl informującego o wszystkich ciekawych i godnych uwagi biegach w Polsce i nie tylko, dokumentował bieg kamerką sportową. Dzieliliśmy się swoimi wrażeniami dotyczącymi maratonu i podziwialiśmy ośnieżone szczyty i zbocza gór wokół Longyearbyen. Obaj byliśmy zdziwieni, jak bardzo rzeczywisty wyglądał wyspy Spitsbergen

odbiegał od wyobrażenia, jakie zbudowaliśmy sobie na podstawie artykułów prasowych i zdjęć umieszczonych w sieci.

Część wytyczonej trasy maratonu nadal pokryta była śniegiem, co trochę dało nam się we znaki. Nie traciliśmy jednak dobrych humorów. Wkrótce zostawiliśmy w tyle zabudowę miejską i mogliśmy w pełni bezpiecznie podziwiać okolice fiordu Isfjorden, nad którym położone było miasteczko. Często mijaliśmy zaparkowane tuż przy drodze skutery śnieżne. Niektóre stały bezpośrednio na ziemi, a inne na specjalnych stelażach (żeby nie przymarzły do gruntu) na wypadek mocnych opadów i przymrozków. Ze skuterów śnieżnych zazwyczaj korzysta się na Spitsbergenie przez mniej więcej 10 miesięcy, bo średnio tak długo zalega na wyspie gruba pokrywa śnieżna, zatem nie są narażone na długie przestoje.

W miejscu, w którym widniała tabliczka wjazdowa do Longyearbyen, mogliśmy także zobaczyć wielką hodowlę psów husky zamkniętych w przestronnych boksach – psiaki ochoczo kibicowały uczestnikom biegu. Pomyślałem, że hasło „zimno jak w psiarni” jest absolutnie adekwatne do warunków panujących za 78 stopniem szerokości geograficznej. Trasa była cały czas szczegółowo kontrolowana przez obsługę techniczną biegu wyposażoną w quady, lornetki, ale przede wszystkim długą broń. To oni mieli zapewnić bezpieczeństwo maratończykom, gdyby któryś z lokalnych drapieżników zechciał zmierzyć się z biegaczami w umiejętnościach sprinterskich. Zresztą mieliśmy świadomość, że tutaj człowiek jest intruzem w świecie zwierząt, a nie odwrotnie. Co jakiś czas przypominały o tym trójkątne tabliczki z czerwoną obwódką i niedźwiedziem w środku oraz podpisem: „Gjelder hele Svalbard”, czyli „dotyczy całego Svalbardu”.

Po około 7 km wspólnego biegu w kierunku południowo-wschodnim dobiegliśmy z Michałem do momentu, w którym pętla maratońska zakręcała z powrotem do Longyearbyen. Naszą sympatyczną rozmowę i śmiechy przerwał potężny i przenikliwy wiatr. Okazało się, że dotychczas biegliśmy z wiatrem, a teraz przez kolejne kilometry musieliśmy się z nim zmagać. Przestaliśmy rozmawiać, pochyliliśmy nieco sylwetki, żeby lepiej stawić czoła sile żywiołu. Momentalnie poczułem na policzkach zimne łyzy wyciskane przez silne podmuchy. Trzeba zaznaczyć, że na

Spitsbergenie szata roślinna jest uboga, typowa dla rejonów arktycznych. To oczywiście rezultat niezwykle krótkiego okresu wegetacyjnego i niekorzystnego klimatu. Na wyspie znajdziemy glony, porosty, mszaki, grzyby, ale próżno tu szukać drzew czy krzewów (poza karłowatymi wierzbami osiągającymi kilka centymetrów). Nie ma więc naturalnej bariery, która mogłaby stawić opór silnym wiatrom wiejącym w tym regionie. Boleśnie tego doświadczyłem, pokonując kolejne kilometry.

Mniej więcej w połowie trasy Michał zdecydował się pobiec nieco szybciej, więc drugą pętlę maratonu pokonałem już we własnym, dostojnym tempie. Z uśmiechem obserwowałem licznych kibiców na trasie maratonu. Tu widać było jak na dłoni to, o czym czytałem, przygotowując się do wyprawy. Otóż największą mniejszość narodową na wyspie poza Norwegami stanowią Tajowie! Przepisy dotyczące osadnictwa są na wyspie mniej restrykcyjne niż na kontynencie, zatem szybko osiedliło się tu kilka rodzin tajskich. Te rodziny zaczęły sprowadzać na Spitsbergen swoich krewnych oraz znajomych i w efekcie na wyspie można spotkać wielu przedstawicieli tego ludu oraz skosztować zjawiskowej tajskiej kuchni.

Chyba wszyscy z 1800 mieszkańców Longyearbyen wyszli na ulice kibicować maratończykom. Wreszcie po 4 godzinach 51 minutach i 6 sekundach samotnie przeciąłem linię mety. Może nie jest to imponujący wynik, za to jestem dumny z miejsca w klasyfikacji generalnej biegu. Ci, którzy biorą udział w biegach długodystansowych, z pewnością mnie zrozumieją. Ilu z Was może się poszczycić ukończeniem biegu wśród pierwszych 50 biegaczy? Ja ukończyłem ten bieg jako 36 osoba. Za mną na mecie pojawiło się już tylko 9 uczestników. Tak wysokiego miejsca w maratonie chyba nie uda mi się już uzyskać. Na mecie czekał na mnie Bartosz, którego uprzedziłem, ile mniej więcej czasu zajmie mi pokonanie dystansu 42 km i 195 m. Przed powrotem na jacht uciąłem sobie jeszcze krótką pogawędkę z Michałem, który towarzyszył mi przez pierwsze kilometry trasy. Gdy po niemal czterech latach od udziału w maratonie zapytałem go, co najbardziej utkwiło mu w pamięci z tego biegu, dostałem taką oto odpowiedź:

„Najbrzydszy medal, jaki otrzymałem w historii swoich już ponad 100 ukończonych maratonów. Pomimo startowego wynoszącego ponad

300 złotych na mecie otrzymaliśmy zwykłą blaszkę o średnicy 3,5 cm kosztującą w markecie 2–3 złote, z wklejonym napisem *Spitsbergen Marathon*. Oczywiście to był dla nas wielki zawód. Ponieważ jednak z Polski startowało w maratonie aż siedem osób, wzięliśmy sprawy w swoje ręce i na własny koszt zamówiliśmy specjalne medale w zaprzyjaźnionej firmie. Projekt i wykonanie były tak wspaniałe, że do dziś to jeden z najpiękniejszych medali w mojej kolekcji – ciężki, duży medal z niedźwiedziem polarnym w tle. Nieco złośliwie wysłaliśmy jeden z nich do organizatorów, by zobaczyli, jak powinno wyglądać prawdziwe trofeum wręczane uczestnikom... Od tamtej pory Norwegowie ze Spitsbergenu zamawiają w Polsce piękne medale na swój maraton. Niestety nas ta inicjatywa kosztowała słono, bo przy tak krótkiej serii medali cena wyszła ponad 100 złotych za sztukę. Ale było warto!”.

Kalosze w tundrze to podstawa!

Wróciliśmy z Bartoszem do portu. On poszedł prosto na jacht, a ja – do portowych sanitariatów. Po kąpieli dotarłem na jednostkę, gdzie Bartosz przygotował już obiad dla naszej wówczas trzyosobowej załogi. Na stole stały jednak cztery talerze. Do drużyny dołączył Peter – kolega Bartosza z Hong Kongu. Pomyślałem, że świat naprawdę się skurczył, jeśli jesteśmy w stanie umówić się na spotkanie ze znajomymi w takich miejscach na świecie, które należą raczej do tych mało dostępnych. Spędziliśmy z Peterem bardzo sympatyczny wieczór w głównej kabinie jachtu. Postanowiliśmy też, że później wyskoczymy jeszcze razem do miasta na piwo. Gdy tak sobie rozmawialiśmy, ktoś zauważył, że zbliża się północ. Straciliśmy poczucie czasu, a wciąż widoczne na niebie słońce nie sygnalizowało, że dzień już minął (tak wyglądał środek nocy podczas dnia polarnego). Wyszliśmy do centrum Longyearbyen przekonani, że o tej porze wszystkie punkty gastronomiczne będą już zamknięte. To był jednak weekend, a Bartosz znał miejsca, do których chodzą tubylcy. Słońce o północy wyglądało, jakby niespiesznie zmierzało w stronę horyzontu.

Na ulicach miasta nie dostrzegliśmy żywego ducha. Minęło nas tylko kilka reniferów posilających się przydrożnymi roślinami. Byłem przekonany, że nasza wycieczka zakończy się fiaskiem, bo całe miasteczko sprawiało wrażenie pogrążonego w głębokim śnie. Dotarliśmy jednak do jednego z wytypowanych przez Bartosza barów. W środku wszystko wyglądało już zgoła inaczej niż na zewnątrz. Było przeraźliwie tłoczno, a muzyka grała tak głośno, że nie mogliśmy swobodnie rozmawiać. Stwierdziliśmy, że poszukamy czegoś bardziej spokojnego. Po kilku próbach udało nam się znaleźć lokal, który nie pękał w szwach. Zauważyłem, że w niektórych restauracjach, pubach czy hotelach na Spitsbergenie w przedsionku znajdują się drewniane półki, na których należy zostawić obuwie i wejść do wnętrza budynku już boso. Przypomniało mi to Japonię i panujący tam podobny zwyczaj. Dowiedziałem się jednak, że tutaj ta zasada zakorzeniona w historii ma podłoże czysto praktyczne. Kiedyś górnicy zdejmowali buty przed wejściem do swoich domów, aby nie nanieść do środka pyłu węglowego. Z czasem stało się to tradycją.

Ostatni dzień mojego pobytu na Spitsbergenie miałem zaplanowany co do szczegółu. Postanowiłem wybrać się na wycieczkę kajakową, aby dać nieco wytchnienia zmęczonym po biegu nogom. Jeszcze przed wyłotem na Spitsbergen znalazłem biuro podróży organizujące jednodniowe wycieczki kajakowe. Ta, którą wybrałem, prezentowała się całkiem obiecująco. Mieliśmy popłynąć z przewodnikiem na przeciwległy brzeg fiordu Adventsfjorden, nad którym położone jest Longyearbyen, przespacerować się chwilę brzegiem i zjeść wspólny posiłek. Z samego rana zameldowałem się w biurze firmy organizującej wyprawę kajakową. W środku było już kilku chętnych. Ostatecznie zebrało się 14 osób – wypełniliśmy siedem podwójnych kajaków. Zostaliśmy poinstruowani w kwestii procedur bezpieczeństwa i udaliśmy się do magazynu po odbiór sprzętu potrzebnego do wiosłowania. Wiecie, jak wygląda wypożyczanie kajaka w Polsce? Organizator daje uczestnikowi za duży lub za mały kapok, po czym mówi, że zawsze się przyda, bo można na nim usiąść w trakcie długiego spływu. Tutaj wszystko odbywało się zupełnie inaczej. Szykowaliśmy się tak, jakby miała to być co najmniej wyprawa kosmiczna. Każdy uczestnik dostał

gruby, ocieplany, wodoodporny kombinezon, kapok, rękawiczki, aby nie nabawić się odcisków od wiosła, a także nakładki na rękawiczki dla ochrony przed silnym wiatrem i zimnem. Otrzymaliśmy również spakowany liofilizowany posiłek, który mieliśmy zjeść podczas postoju na drugim brzegu fiordu. Nasz przewodnik zapakował długą broń w wodoodporny pokrowiec i byliśmy niemal gotowi do startu.

Zostaliśmy także dobrani przez organizatora w pary do kajaków. Ja miałem płynąć z Pawłem – Amerykaninem ukraińskiego pochodzenia. Każdy kajak miał komorę do przechowywania rzeczy oraz specjalny ster – sterowanie odbywało się poprzez pociąganie za odpowiednie sznurki. Udało mi się nakłonić Pawła, żeby usiadł z przodu – wiadomo, kapitan jednostki siedzi z tyłu. Ponad półtorakilometrowa przeprawa przez fiord zajęła nam kilkadziesiąt minut. Na środku zatoki organizator (będący jednocześnie przewodnikiem) zarządził przerwę. Połączyliśmy się z innymi kajakami, łapiąc się wzajemnie za wiosła, i w ten sposób utworzyliśmy tratwę. Potwierdziliśmy, że wszyscy są w dobrej kondycji, i ruszyliśmy dalej.

Gdy przybiliśmy do drugiego brzegu, pogratulowałem sobie w duchu, że przed wyjazdem na Spitsbergen kupiłem solidne wysokie kalosze. Wędrówka przez tundrę letnią porą to doświadczenie jedyne w swoim rodzaju. Podłoże było podmokłe i nasze stopy zupełnie znikły w pokrywającej ziemię niewysokiej, barwnej, brązowo-fioletowo-zielonej roślinności. Ze śmiesznym człapaniem i przy akompaniamencie chlupocząco-ssących dźwięków ruszyliśmy na niewielki spacer. Nasz przewodnik wskazał na brzeg i zapytał, czy wiemy, skąd pochodzą pnie i konary drzew, które zalegają na plaży fiordu. Rzeczywiście wyglądało to dosyć osobliwie i sam się dziwiłem, że wcześniej o tym nie pomyślałem. Plaża była pełna drewna, chociaż na tej szerokości geograficznej próżno szukać drzew. Otóż – jak wyjaśnił nam przewodnik – były to drzewa ścinane na Syberii, a następnie spławiane rzekami do Morza Barentsa i Morza Karskiego. Stwierdził, że Rosjanie czasem nie przykładają wagi do tego, żeby w deltach rzek, gdzie drewno jest pakowane na statki do dalszego transportu, wykonać swoją pracę solidnie. Pozwalają, aby mniejsze i mniej atrakcyjne drzewa dryfowały swobodnie, a one po pokonaniu kilkuset kilometrów trafiają

między innymi na brzeg Spitsbergenu, z czego mieszkańcy skrupulatnie korzystają.

Podczas spaceru przewodnik zaprezentował nam także specjalne konstrukcje, które służyły do transportu urobku z kopalń węgla. Obecnie z racji zamknięcia kopalń maszyny nie były już używane. Zobaczyliśmy też dwa domki letniskowe należące do mieszkańców Longyearbyen. Pomyślałem, że właściciele muszą być wyjątkowymi odludkami, skoro uciekają z miejscowości o tak zawrotnej populacji w miejsce, gdzie mogą spotkać chyba wyłącznie niedźwiedzie, renifery i lisy polarne.

Po kilkudziesięciominutowej wycieczce doszliśmy do punktu, w którym zaplanowano posiłek. Organizator wycieczki miał tu przygotowane miejsce na ognisko. Wokół paleniska stały wielkie metalowe skrzynie, z których wyciągnął kolejne ocieplane kombinezony dla uczestników. Po ich włożeniu wyglądaliśmy wyjątkowo komicznie. Na sobie mieliśmy swoje ubranie, kombinezon kajakowy, a na nim dodatkowy kombinezon, który miał nas zabezpieczyć przed wychłodzeniem podczas postoju. Posileni i usatysfakcjonowani doświadczeniem letniego spaceru w tundrze ruszyliśmy w drogę powrotną.

Bagaż miałem już spakowany, więc gdy dotarłem na jacht, pozostało mi tylko pożegnać się serdecznie z Bartoszem i Jerzym oraz z dopiero co poznanym Peterem i powędrować na lotnisko.

Mimo że moja wyprawa na Spitsbergen miała miejsce kilka lat temu, a w międzyczasie odbyłem kilka innych ciekawych wypraw, często wracam myślami do tego niewielkiego skrawka ziemi na Oceanie Arktycznym. Od czasu do czasu spoglądam na mapę przedstawiającą tereny za kołem podbiegunowym i jestem szczęśliwy, że udało mi się dotrzeć tak daleko na północ. Z drugiej strony z Longyearbyen do bieguna północnego jest już tylko 1000 km. A może by tak, całkiem niezobowiązująco, wpisać w wyszukiwarce internetowej hasło: „How to get to the North Pole?” i zobaczyć, co z tego wyniknie? Może któregoś dnia zawędruję i tam?



Panorama Longyearbyen widziana z okna samolotu



Okolice portu w Longyearbyen



Droga z lotniska do portu w Longyearbyen. Na wzniesieniu widoczne są drewniane konstrukcje służące do transportu węgla



Droga z lotniska do portu w Longyearbyen – widok na fiord Isfjorden



Tafla Oceanu Arktycznego, gdy wypływaliśmy w stronę Polskiej Stacji Polarnej Hornsund



Fiord Hornsund, nad którym zlokalizowana jest polska stacja badawcza



Motorówka, którą dotarliśmy z naszego jachtu na brzeg fiordu



Zabudowania stacji



Tabliczka umieszczona przy wejściu do stacji badawczej



Przylądek Wilczka w pobliżu stacji badawczej



Droga powrotna do Longyearbyen – nie miałem żadnych symptomów choroby morskiej



Znaki informujące o niebezpieczeństwie bliskiego spotkania z niedźwiedziami polarnymi licznie występującymi na Spitsbergenie



Na linii startu maratonu



Trasa maratonu



Obsługa techniczna biegu patrolowała trasę maratonu z długą bronią, żeby zapewnić bezpieczeństwo uczestnikom



Wycieczka kajakowa na drugą stronę fiordu Adventsfjorden

SPIS TREŚCI

OD AUTORA 5

SPITSBERGEN Kraina tundry 7

Świąteczny prezent prosto z Arktyki	9
Mój pływający dom w Arktyce	12
Przyspieszony spacer do portu w Longyearbyen	13
Herbata na Morzu Grenlandzkim może sprowadzić na manowce	17
Odbezpiecz, wyceluj i strzelaj!	21
The North Pole is in the north. The South Pole is in the south. And we, the Poles, are everywhere...	23
Kalosze w tundrze to podstawa!	28

ISLANDIA Kraina wiatru 41

Szczęśliwi jak wiking Leif	43
Złoty Krąg pokryty śniegiem i lodem	45
Wietrzna bezsenność	49
Czarny jak piasek na plaży	53
Ulotne piękno rzeźbione strumieniami wody	55
Sceny niczym z Bonda	58
Przekąska prosto z dna Atlantyku	61
Uduchowiony nocleg	64
W pułapce	65
O ten skarb warto toczyć wojnę	69
Fale Oceanu Arktycznego ożywiają kamienie	72
Coś wisi w powietrzu	74
Tu spotykają się tęgie głowy	77

PÓŁWYSEP KOLSKI Kraina śniegu **121**

Królestwo kraba	123
Woda jest za zimna, żeby się kąpać, wtedy gdy zamienia się w lód	125
Polowanie na zorzę	132
Jak karmić Rudolfa	135
Na śniegu, w śniegu i pod śniegiem	138
Salutujący niedźwiedź polarny	143

PATAGONIA Kraina odległa **173**

Patagonia – startujemy	175
Emeryci na krańcu świata	175
Wycieczka na lodowiec Perito Moreno, czyli lodowa rzeka	177
El Chalten, czyli niepozorna wioska w cieniu legendarnych szczytów	178
Cerro Torre, czyli legenda, magia i realia turystycznego życia	179
Trekking pod Fitz Roy oraz Madre i Hija, czyli krajobrazy, których nigdy nie zapomnimy	181
Wycieczki-zapchajdziury, czyli jak spędzamy czas, nie mogąc wydostać się z miasta	184
U podnóża Torres del Paine, czyli obowiązkowy punkt na liście najpiękniejszych wędrówek świata	187
Punta Arenas, kanał Beagle, Ziemia Ognista i Ushuaia, czyli dotarliśmy na koniec świata	189

Patronat medialny



Travel Magazine

ICELAND NEWS POLSKA

**ZUPEŁNIE
INNY ŚWIAT**



Nałogowy Książkoholik
KULTURA • ŻYCIE • PASJA



WALKĘ MAMY WE KRWI

JUDO – SPORT WALKI Z RAKIEM

to fundacja powołana przez pasjonatów judo, którym nie jest obojętny los dzieci chorych na nowotwory. Zajmujemy się zbiórką krwi podczas imprez związanych z judo. W trakcie jednego turnieju przez hale przewija się około 400 potencjalnych dawców. Jeśli tylko 10% z nich odda krew, to mamy aż 18 l krwi, która może uratować niejedno życie.

Do akcji może dołączyć każdy. Zapewniamy posiłek regeneracyjny, pamiątkową koszulkę i świetną atmosferę.

ARTUR GORZELAK
WSPIERA FUNDACJĘ
JUDO – SPORT WALKI
Z RAKIEM



JUDO SPORT WALKI Z RAKIEM

Nasze starania nie odniosłyby sukcesu, gdyby nie dawcy, ludzie dobrej woli, judocy, sponsorzy i partnerzy.

Zachęcamy do podzielenia się życiodajnym płynem z potrzebującymi.

Jeśli chcesz dołączyć do akcji lub wspomóc działania fundacji, skontaktuj się z nami pod adresem:

judosportwalkizrakiem@gmail.com

www.judosportwalkizrakiem.com

PRZEKAŻ 1%

CEL SZCZEGÓŁOWY:
SPORT WALKI Z RAKIEM 8925



ZNAJDŹ NAS NA FACEBOOKU
JUDO – SPORT WALKI Z RAKIEM

KRS: 0000270261

Spójrz na świat od strony wody!

Kolekcja plakatów
AQUA POSTERS

Projekt i druk:
Michał Chojnacki

Studio Warto

Nagrody:

**must
have**

ZAPROJEKTOWANE
PO LUDZKU

studiowarto.com
facebook - @studiowarto
instagram - @studiowarto

Aqua Posters to autorski projekt łączący elementy kartografii z tradycyjnym ręcznym drukiem sitowym. Kolekcję tworzą wybrane akweny z całego świata, te małe i te wielkie, fascynujące, popularne, charakterystyczne. Mazury, Wigry, Zalew Szczeciński, Bałtyk, Morze Śródziemne, Morze Czarne, Balaton, Bajkał, Tanganika, Jezioro Genewskie, Jeziorak – to tylko część wspaniałej kolekcji plakatów.

Pozbawione kontekstu mapowego obrysy tworzą abstrakcyjne, na pierwszy rzut oka nierozpoznawalne formy, które delikatnie zdradza umieszczony na dole plakatu podpis. My spojrzeliśmy na świat od strony wody i dostrzegliśmy piękno natury, sentymentalny aspekt podróży i ludzkiej potrzeby egzystowania z wodą. Różnorodność kształtów i kolorów to siła napędowa tej kolekcji.

Kolekcja plakatów pozwala na skomponowanie własnej mapy świata w swoim wnętrzu. Tej indywidualnej i bogatej we wspomnienia. Dobór kolorów i sposób ich rozprowadzenia na papierze nie jest przypadkowy – zawsze odnosi się bezpośrednio do elementów charakterystycznych danego regionu, jego mieszkańców, walorów naturalnych lub pochodzenia akwenu.

Zależało nam, by nie tworzyć produktu masowego, dlatego zdecydowaliśmy się na ręczny druk sitowy w połączeniu ze specjalnie skomponowanymi przez nas mieszankami ekologicznych farb wodnych. Farby mieszają się ze sobą bezpośrednio w trakcie druku, tworząc oryginalne kompozycje kolorystyczne, zachowując przy tym dokładny obrys danego wzoru.

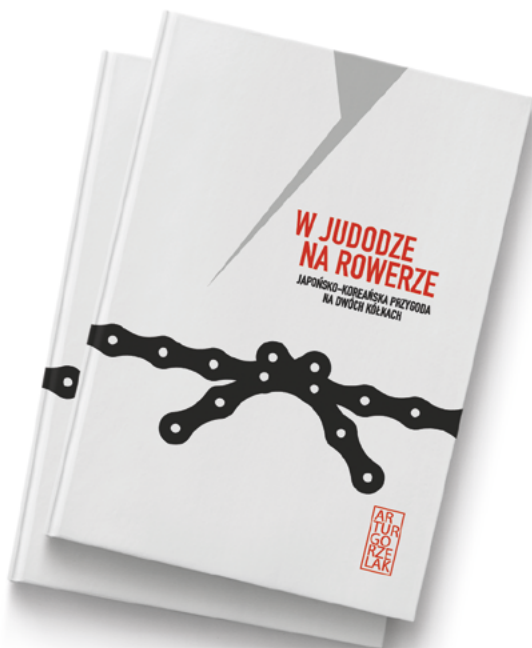
Wszystkie plakaty z tej kolekcji powstają w naszej pracowni w Łodzi, przy Piotrkowskiej 101. Pozwala nam to również na spełnianie Waszych plakatowych marzeń. Dajcie znać, jakie akweny sprawią Wam lub Waszym bliskim radość i stwórzmy je razem!



Plakat Bajkal z kolekcji Aqua Posters, fot. Aleksandra Gach

Jeżeli lubisz sport i podróżę,
cenisz reportaże i odważne przedsięwzięcia,
przeczytaj pierwszą książkę Artura Gorzelaka:

„W judodze na rowerze. Japońsko-koreańska przygoda na dwóch kółkach”



PIERWSZY REPORTAŻ PRZYGODOWO-SPORTOWY O JUDO

Książka dostępna w sprzedaży w księgarniach
Bonito.pl, ArtTravel.pl i Sklepach Podróżnika,
a w wersji elektronicznej w księgarni Virtualo.pl.

WIĘCEJ INFORMACJI NA:

www.facebook.pl/wjudodzenarowerze

A może wolisz chłodniejsze klimaty?
Jeśli tak, to sięgnij po drugą książkę Artura:
„Zostawieni na lodzie.
Piesza przeprawa przez Bajkał”.

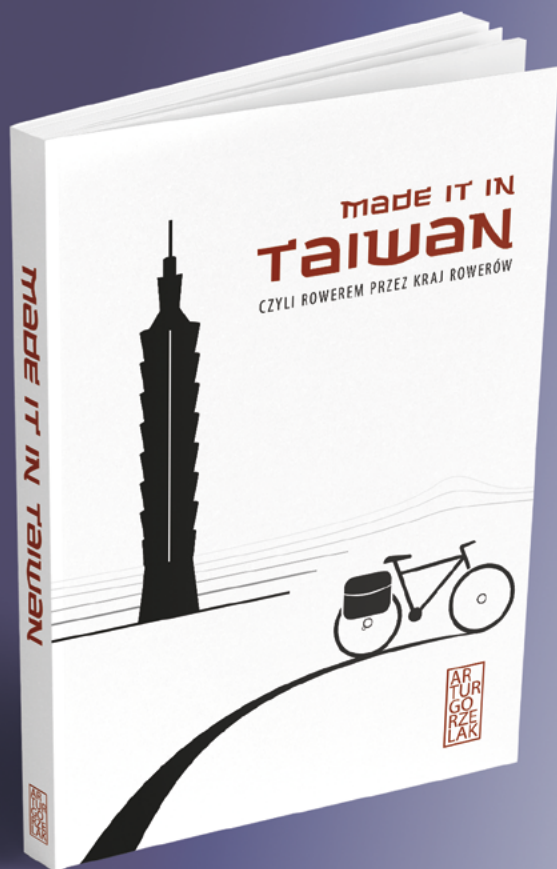


ULTRAMARATON PO ZAMARZNIĘTEJ TAFLI BAJKAŁU

Książka jest dostępna w wersji elektronicznej.
Można ją nabyć w księgarni **Virtualo.pl**.

Trzecia książka Artura:

„Made it in Taiwan, czyli rowerem przez kraj rowerów”
to coś w sam raz dla fanów wypraw na dwóch kółkach
i dalekowschodniej egzotyki.



Pierwszy polskojęzyczny
reportaż o podróży na Tajwan

KSIĄŻKA POD
HONOROWYM PATRONATEM:



Biuro Polskie w Tajpej
波蘭臺北辦事處
Polish Office in Taipei

Taiwan.gov.tw

Książka dostępna w księgarniach **Bonito.pl**, **ArtTravel.pl**
i **Sklepach Podróżnika**, a w wersji elektronicznej
w księgarni **Virtualo.pl**.

Co czeka turystę, który zawędrował w okolice podbiegunowe? Przede wszystkim spotkanie z nieujarzmioną naturą i liczne niespodzianki, jakie płata mieszkańcom umiarkowanej strefy klimatycznej zetknięcie z twardymi realiami Dalekiej Północy (a w jednym przypadku Południa).

Książka *Pod bieguny* nie przypomina tradycyjnych przewodników, za to stanowi ich doskonale uzupełnienie – opisuje „z pierwszej ręki”, z jakimi wyzwaniem przyjdzie się zmierzyć podróżującym do tych zakątków świata. Nie brakuje w niej humorystycznych sytuacji i anegdot, a także solidnej i przystępnie podanej dawki wiedzy przyrodniczo-historycznej, ze sporym udziałem wątków polskich.

ISBN 978-83-950111-4-6



9 788395 011146